



Halina Kwiatkowska

Publikujemy fragmenty najnowszej książki Haliny Kwiatkowskiej – „Wielki Kolega”, w której wspomina swoje liczące kilkadziesiąt lat spotkania z Karolem Wojtyłą, gimnazjalnym kolegą z Wadowic, kolegą ze studiów, z Teatru Rapsodycznego, późniejszym księdzem, krakowskim biskupem i kardynałem, Ojcem Świętym. Książkę, pod redakcją Jacka Marii Strocki, wydała Oficyna Kwadrat w związku z przypadającymi w tym roku rocznicami: 25-leciem pontyfikatu papieża Jana Pawła II, 40-leciem nominacji Karola Wojtyły na arcybiskupa metropolii krakowskiej, 45-leciem otrzymania przez niego sakry biskupiej, a i 65. rocznicą egzaminu dojrzałości w wadowickim gimnazjum – 14 maja. A za dwa dni, 18 maja, Ojciec Święty będzie obchodził 83. urodziny.

Kremówki Hagenhubera

Kremówki, o których wspominał Ojciec Święty, rozmawiając z wadowiczankami na rynku rodzinnego miasta w czasie pielgrzymki do Polski w 1999 roku, zrobiły oszałamiającą karierę.

Przed wojną, na rogu rynku, pod numerem piętnastym, *vis-à-vis* kościoła, mieściła się cukiernia Karola Hagenhubera, wiedeńczyka. Przywiózł on ze sobą do Polski przepisy austriackich słodkości. Jego wyroby cieszyły się znakomitą opinią i ogromnym wzięciem. Cukiernik był wielbicielem naszego szkolnego teatru i zawsze z radością podejmował się charakterystyki młodych aktorów. Dostarczał też potrzebnych nam teatralnych szminek, wąsów i peruk.

Chodziliśmy do cukierni Hagenhubera całymi rodzinami. Nie pamiętam, żebym tam jako uczennica kiedykolwiek była sama lub z koleżankami. Gdyby ktoś z pedagogów spotkał mnie w lokalu, miałabym kłopot z ocenami za zachowanie. Gimnazjalistom i gimnazjalistkom nie wolno było odwiedzać takich publicznych miejsc bez opieki dorosłych. Owszem, w letnie niedziele po obiedzie biegłam z salaterką kilkadziesiąt metrów, dzielących nasze mieszkanie w gimnazjum od rynku, stawiałam przed ladą cukierni, a pan Hagenhuber w białym kitlu napełniał naczynie kolorowymi kulkami lodów. Do domu wracałam pędem, aby się lody po drodze nie roztopiły.

Kremówki Hagenhubera były przepyszne, z rozpylającymi się w ustach dwiema warstwami francuskiego ciasta, przełożonymi wspaniałą, żółtą, kremową masą, lekką i puszystą, o delikatnym, waniliowym smaku. Wbrew plotkom, nie zawierały ani kropli alkoholu. Pamiętam, że jedna kosztowała piętnaście groszy.

Zabawny incydent z kremówkami wydarzył się w klasie Karola Wojtyły tuż po maturze. Koleżdy założyli się, kto zje więcej tych olbrzymich ciastek. Wygrał chłopak, który zjadł ich piętnaście. Właśnie to wspomnienie tak rozśmieszyło papieża podczas wadowickiej wizyty – a kremówki stały się od tego czasu niezwykle modne nie tylko w rodzinnym mieście Ojca Świętego.

HALINA KWIATKOWSKA

Wielki Kolega



Ojciec Święty i Halina Kwiatkowska oraz Tadeusz Królikiewicz, brat autorki i Karol Hagenhuber (pierwszy z prawej) na dziedzińcu Kurii Biskupiej w Krakowie podczas pielgrzymki do Polski w sierpniu 2002 r. Zdjęcie pochodzi z książki Haliny Kwiatkowskiej. Fot. ARTURO MARI

O co pytają dziennikarze?

Dziennikarze nieraz mnie pytają, czy granie w Teatrze Rapsodycznym przydało się papieżowi w pełnieniu Jego wielkiej godności. Uważam, że tak. Kontakt z filozoficzną poezją Norwida, który stał się jego ukochanym, często cytowanym poetą, kult świętego Stanisława (grał w „Królu-Duchu” króla Bolesława Śmiałego) i inne role musiały pogłębić jego stosunek do teologii, którą właśnie wtedy zaczął tajnie studiować.

Kiedy w 1942 roku Karol Wojtyła powiedział nam o decyzji podjęcia studiów teologicznych, nie uznaliśmy tej wiadomości za niespodziewaną czy szokującą, wszyscy wiedzieliśmy o jego niespotykanej pobożności. Mimo to Tadeusz Kudliński przez całą

noc starał się odwieść Karola od tego zamiaru. Opowiadał mi, jak cytował mu przypowieść o talentach, które należy mnożyć, bo doskonale wiedział, że kultura polska straci w osobie Karola wielkiego aktora. Zdołał jedynie przekonać go, by wybrał kapłaństwo świeckie, zamiast wstępować do klasztoru Karmelitów Bosych o bardzo ostrej regule, co ten planował od początku.

Gdy o zamiarze zostania zakonikiem Wojtyła poinformował Stefana kardynała Sapiechę, książę Kościoła oburzył się i rzekł: *Najpierw trzeba skończyć to, co się zaczęło.*

Muszę przyznać, że całe to szczególne doświadczenie teatralne zapisało się bardzo głęboko w mojej pamięci, chociaż od pewnego momentu zdałem sobie

sprawę, że teatr nie był moim powołaniem – wspominał po latach Papież Jan Paweł II w autobiografii „Dar i Tajemnica”.

Aby nie zepsuć nam teatralnej współpracy, Karol nadal brał udział w naszych próbach i wszystkich siedmiu premierach rapsodycznych. Ta teatralna praktyka wyrobiła u niego siłę głosu i wspaniałą dykcję, ukształtowała piękny gest, jakim się posługuje jako papież, na-

chorowałam i nie wychodziłam z mieszkania, przyszedł do nas do Domu Literatów przy ul. Krupniczej 22, aby wraz z udzieleniem sakramentu nadać córce imioną Monika Katarzyna. Na rodziców chrzestnych poprosiliśmy Barbarę Kudlińską, żonę pisarza Tadeusza Żukrowskiego, oraz Wojciecha Żukrowskiego.

Pamiętam dobrze tę uroczystość. Młody ksiądz, tuż po święceniach kapłańskich był

stremowany i przejęty – chrzcili dziecko po raz pierwszy w życiu, na dodatek Monika bardzo krzyczała. Wyjeżdżał chyba do Rzymu zaraz potem, miał przy sobie podobną do konduktorskiej torbę, którą zostawił w przedpokoju. Obok leżała mała paczuska, owinięta w gruby, szary papier, który się nieco rozchylił. Zobaczyliśmy z matką prowiant przygotowany na podróż – dwie grube kromki czarnego chleba, przełożone plasterkiem żółtej słoniny. Czaszy nie były lekkie, ale udało nam się z mamą przygotować poczęstunek dla gości – przepakowałyśmy więc prowiant księdzu, dodając trochę naszych skromnych smakołyków. Karol Wojtyła nigdy nie dbał o własne wygody, o czym świetnie wiedzieli jego przyjaciele.

Mijały lata. Karol nie zrywał z nami kontaktów. Pojawił się w Wadowicach na dziesięciolecie matury w 1948 roku, nie opuszczał też spotkań kolegów polonistów, które urządzaliśmy co pewien czas w różnych naszych domach, ani jubileusz Teatru Rapsodycznego.

Jako papież zawsze przekazywał swoje błogosławieństwo dla mojej córki, kiedy tylko miałam okazję się z nim zobaczyć, nigdy nie zapomniał też o niej, przysyłając świąteczne życzenia. Był bardzo serdeczny dla Moniki w czasie naszego rodzinnego pobytu w Watykanie; pokazywał ją obecnym tam wówczas osobom jako pierwsze ochrzczone przez siebie dziecko.

Wizyty w Kurli

W 1975 roku Stary Teatr został zaproszony z „Dziadami” do Londynu na festiwal Teatru Narodów, co było wielkim wyróżnieniem. Reżyser Konrad Swinarski pojechał do Anglii, aby wybrać odpowiednią scenę do wystawienia tego spektaklu, gdyż wymagał on specjalnych warunków.

W krakowskim teatrze aktorzy grali na wielu planach: w holu na parterze i na pierwszym piętrze, na scenie i na pomoście wiodącym przez środek widowni. Swinarski nie znalazł odpowiedniego miejsca w londyńskich teatrach, odkrył jednak nadającą się do wystawienia „Dziadów” piękną katedrę Southwork, położoną nad Tamizą.

Wydelegowano mnie wtedy – jako koleżankę ówczesnego arcybiskupa Karola Wojtyły i aktorkę grającą w „Dziadach” – abym udała się wraz z Konradem do Kurii, prosić o pozwolenie odbycia dwóch nocnych prób w krakowskim kościele Dominikanów. Jest on bowiem bardzo podobny w układzie naw do londyńskiej katedry, choć naturalnie mniejszy.

Arcybiskup zaraz zgodził się nas przyjąć. Spotkaliśmy się we trójkę przy wielkim stole w sali kurii – wielki polski ksiądz i wielki polski reżyser, a ja pomiędzy nimi. Rozmowa trwała długo. Gdybym mogła ją nagrać! Mówiliśmy o historycznej epoce „Dziadów”, jej romantyzmie, mesjanizmie, a także o sprawach tyjących naszego spektaklu, który arcybiskup już znał. Zdumiała mnie jego wiedza na temat rozkładu londyńskiej katedry, pamiętał doskonale jej rzeźby i obrazy; nawet radził Konradowi, jak rozwiązać niektóre szczególne sytuacyjne naszego przedstawienia. Zgodził się oczywiście, byśmy przeprowadzili próby u dominikanów. Widoczne było, jak bardzo ceni Konrada Swinarskiego i jaką do niego poczuł sympatię podczas tej fascynującej dyskusji.

Druga wizyta, w której uczestniczyłam również jako delegat kolegów aktorów, odbyła się z zupełnie innego powodu. Moim towarzyszem był wtedy Tadeusz Malak, aktor powojennego Teatru Rapsodycznego. Sprawa dotyczyła bardzo lubianego i szanowanego naszego kolegi Macieja Nowakowskiego. Cały swój wolny czas poświęcił na stworzenie Klubu Aktora przy placu Szczepańskim, pod auspicjami ówczesnego stowarzyszenia aktorów SPATIF. Pewnego dnia znaleziono go tam martwego. Popelniał samobójstwo, zostawił list, aby nikogo nie winić. Okazało się, że mogą być kłopoty z pochówkiem aktora, prosiłszy więc biskupa Karola Wojtyłę o zgodę na katolicki pogrzeb.

Odpowiedział, że nie można osądzać postępowania człowieka w takiej sytuacji, bo nigdy nie wiadomo, co mógł myśleć i czuć w ostatniej chwili życia. Byliśmy bardzo wdzięczni i pogrzeb kolegi odbył się zgodnie z naszymi oczekiwaniem.

Obie te wizyty w sprawach dotyczących ludzi teatru zapamiętałam jako pełne życzliwości.